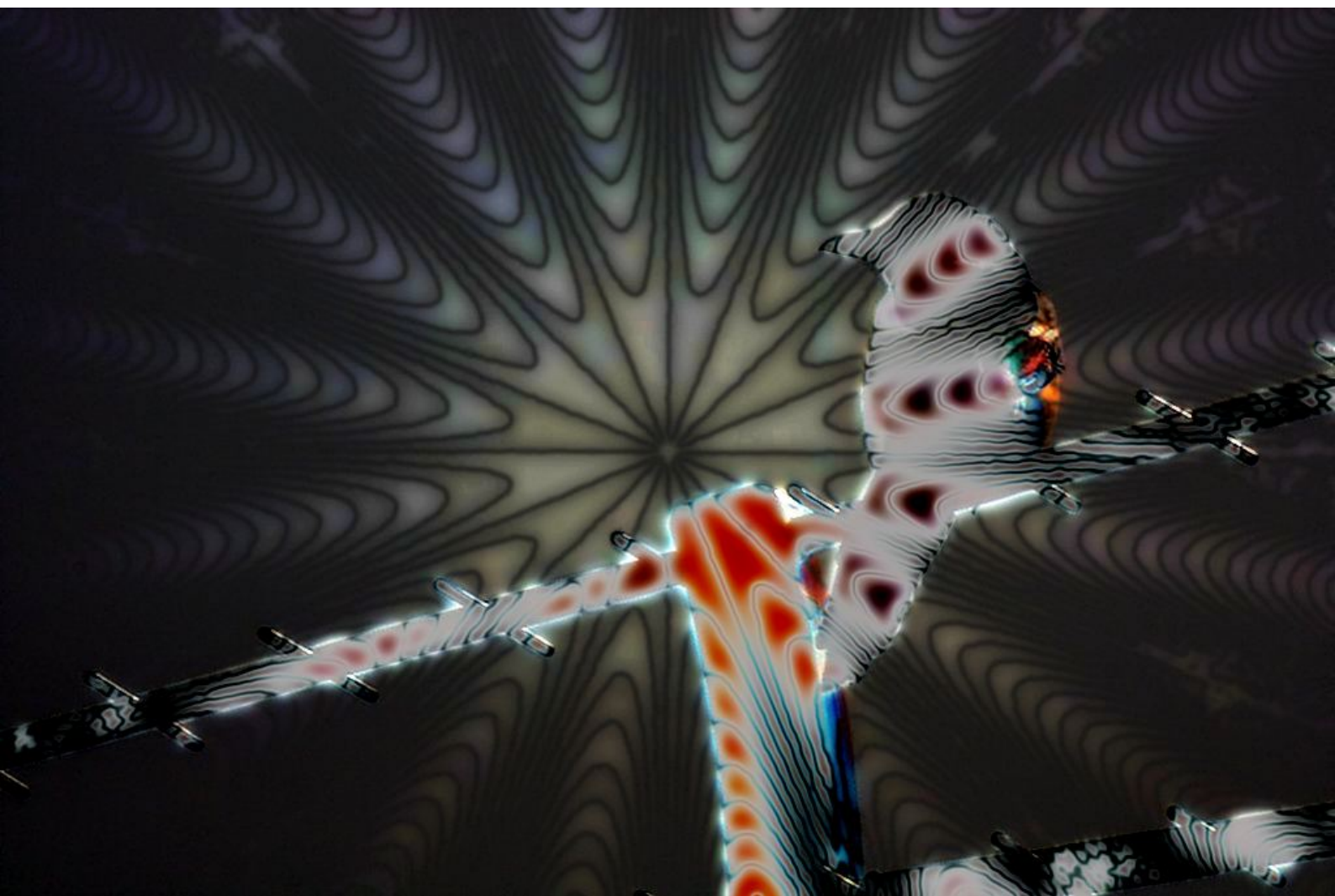




Maciej Musialik „Kirrimowie spłacają dług”

Cordeliane



Czy da się odeprzeć atak zorientowanych na sukces piratów, jeśli nawet ciskanie we wroga jednostkę kontenerami nie pomaga? A to już zależy od tego, kto z nami podróżuje na gapę.

Mostkiem wstrząsnęła eksplozja.

Kapitan Ostrogoff złapał oburącz za obudowę pulpitu, by nie upaść. Kolejny wybuch szarpnął jednak podłogą w przeciwnym kierunku i mężczyzna o mały włos nie przekoziółkował nad wyświetlaczami. Jego ulubiony kubek z napisem „Mała czarna”, zazwyczaj stojący na poręczy kapitańskiego fotela, śmignął przez pomieszczenie i roztrzaskał się o ekran skanera. Resztki zimnego napoju skropiły siedzącego nieopodal nawigatora.

- Mieli nie strzelać! - ryknął dowódca, choć jego niewielka postura nie wskazywała, iż może wydobyć z siebie głos o takiej sile. Zamaszystym ruchem głowy odrzucił z czoła kaskadę grzywe siwiejących włosów. - Roger, mów do mnie!

Nawigator, desperacko wczepiony w błyskającą przed nim aparaturę, odkrzyknął:

- Dwa statki, klasa koliber. Jeden daleko z tyłu, drugi podchodzi z boku.

- Będą chcieli wejść na pokład? - rzucił kapitan w kierunku jeszcze jednego mężczyzny, który trzymał się na uboczu. Ten odziany był w jednolity, zielonkawy mundur, nosił okulary w czarnych oprawkach, a jego głowę wieńczyła schludnie przyczesana fryzura. I choć Luc był najemnikiem, Ostrogoff ciągle nie mógł oprzeć się wrażeniu, iż ma przed sobą księgowego.

- Może spróbują, ale to ryzykowny manewr. Musielibyśmy im na niego pozwolić. Chyba że chcą to zrobić *na pijawkę* - stwierdził spytany.

- Czyli jak?

- Niektóre pirackie statki mają specjalne rękawy wokół włazów. Jeśli pilot jest dobry, mógłby przyssać taki rękaw do naszego wejścia. Gdyby tamci w środku zdążyli się do nas przebić, zanim byśmy ich od siebie oderwali, zrobiliby się tu niezły pasztet.

- Po moim trupie! - odparł dowódca. - Nie znoszę podrobów.

- Ale prawdę mówiąc, nie sądzę, by spróbowali - kontynuował Luc, próbując utrzymać się na nogach, bo statkiem ponownie szarpnęło. - Ci tutaj wyglądają mi raczej na negocjatorów.

- Nazywasz pan to negocjacjami? - wykrzyknął Ostrogoff, ogarniając gestem wszechobecny bałagan. - Więc co dranie robią, jak się wkurzą?

- To samo, ale skuteczniej. A ci chcą nas tylko przycisnąć do muru.

Kapitan westchnął ciężko i przeklął pod nosem.

- Więc co pan radzisz?

- Jak to co? Skończmy robić za tarczę strzelniczą i zwiewajmy stąd. Jeśli wykonamy skok, nie polecą za nami.

- Żeby to było takie proste.

- Przecież jest - zdziwił się Luc. - Jesteśmy na granicy układu, mamy otwartą przestrzeń i prawidłowe koordynaty. Czego chcieć więcej?

- Innego napędu - odparł Ostrogoff, uchylając się przed panelem, który oderwał się z sufitu i gruchnął na podłogę. - Mamy tu zmodyfikowanego Bergmana 8. Jeśli odpalimy skok w tak bliskiej odległości od innych jednostek, zawirowania pociągną je za nami. W najgorszym wypadku mogą nawet doprowadzić do kolizji, a nie wiem, ile „Persefona” jeszcze wytrzyma.

Najemnik pobladł.

- Dlaczego dopiero teraz się o tym dowiaduję? - Nerwowym ruchem wydobył z kieszeni komunikator, by połączyć się ze współnikiem, który od chwili wykrycia intruzów zajmował stanowisko w tylnej części statku.

- Co tam? - odezwał się tubalny głos.

- Jacques, do ciężkiej cholery, wiedziałeś, że mają tu napęd Bergmana?

- A mają?

- Tak, do diabła! A mówiłem, żeby zrobić obchód statku przed odlotem! Durnie z centrali potrafią

tylko poganiać, a jeśli chodzi o bezpieczeństwo, mają wszystko gdzieś! Nie dość, że wpakowali mnie w ten... - najemnik ugryzł się w język. Przypomniawszy sobie, że kapitan wciąż stoi obok. Nie powinien wiedzieć wszystkiego. Zdecydowanie nie powinien. – Niech to szlag!

- Niedobrze - spokojnie skwitował rozmówca. Luc znał kompana od niedawna, ale zdążył już nabrać przekonania, iż z równowagi byłby go w stanie wyprowadzić chyba tylko wybuch supernowej.

- Żebyś wiedział, że niedobrze - odparł wzburzony. - Lepiej mocno się czegoś trzymaj. - Rozłączył się i spojrzał na Ostrogoffa. - Będziemy musieli manewrować.

- Tyle sam wiem! - obruszył się kapitan. - Ale pamiętaj pan, że „Persefona” to transportowiec, a nie statek do akrobacji. Jasna cholera, jak ja chciałbym czasem dowodzić niszczycielem! Przypaliłbym te pirackie tyłki, aż miło!

Niestety, do jednostki wojskowej sporo „Persefonie” brakowało. Jej pięćsetmetrowy kadłub, przypominający gigantyczne, stalowe cygaro, nadawał się co najwyżej do taranowania mniejszych pojazdów. Byłoby zapewne inaczej, gdyby międzyplanetarne ustawy nie zabraniały instalowania na frachtowcach broni. Takie jednostki stanowiły w efekcie łatwy cel. Co gorsza, pirackie ataki na ogół miały miejsce w kilku układach planetarnych, których dyplomaci nie posiadali wystarczającej siły przebicia, by przevorsować zmianę przepisów na mniej restrykcyjne. Od czasu do czasu Rada Zjednoczonych Systemów w geście dobrej woli wysyłała w te rejony pojedyncze krążowniki, ale nie były one w stanie strzec wszystkich sektorów na raz. Najczęściej więc ich zadanie kończyło się na robieniu dobrego wrażenia.

Duże korporacje przewozowe zwracały się więc o pomoc do najemników.

W niebezpiecznych rejonach znanego kosmosu zaczęły nawet działać firmy specjalizujące się w wynajmowaniu obstawy transportowcom. Bezbronne statki dostawały eskortę ścigaczy, a na ich pokładach stacjonowali uzbrojeni najemnicy, mający odeprzeć ewentualny abordaż.

Z pozoru wyglądało to na kres kosmicznego piractwa. Z pozoru, bo nie każdego przewoźnika stać było na takie zabezpieczenie. Ci mniej zamożni wynajmowali pojedynczych ochroniarzy. W krytycznych sytuacjach byli oni jednak równie bezsilni, co załoga - jeżeli wróg miał przewagę, mogli służyć już tylko radą i dobrym słowem. Zanim sam stał się jednym z nich, Luc zwykł uważać taką robotę za wyjątkowo parszywą fuchę.

Teraz zaś zaczynał dochodzić do wniosku, że jest parszywa w sposób monumentalny.

- Przygotować się do zwrotu - zarządził kapitan. - Prawa burta, czterdzieści stopni, dwadzieścia stopni w górę. Zrobimy draniom małą niespodziankę.

- Zrozumiano! - odparł nawigator. - O cholera!

- Co jest?

- Ta dalsza jednostka wystrzeliła coś dużego! Kontakt za dwadzieścia sekund!

Luc skoczył do przodu i zajrzał nawigatorowi przez ramię.

- A niech ich ciężka cholera! - wykrzyknął, czując, jak uginają się pod nim nogi. - Skąd u diabła mieli Hefajstosa?

- Mów pan jaśniej! - wrzasnął kapitan. - Co to jest Hefajstos?

- Pocisk do przebijania pancerzy, używają go na krążownikach.

Ostrogoff zrobił się czerwony z furii.

- Niech ich drzwi od służby ścisną! Mieli negocjować! Po kiego grzyba chcą nas przewiercić na wylot?

- Nie wiem – bąknął Luc. – Sam jestem zdziwiony.

- Więc w następnym życiu zmień pan robotę! – huknął dowódca.

- Uderzenie za dziesięć sekund – łamiącym się głosem poinformował nawigator.

- Na mój sygnał... – zaczął Ostrogoff.

„Mogłem zostać bibliotekarzem” – pomyślał Luc. „Siedziałbym teraz w jakimś spokojnym miejscu”.

- Pięć sekund!

- Uwaga...

„Albo sprzedawcą waty cukrowej...”

- Trzy sekundy!

- Teraz! – krzyknął kapitan.

Statek zaczął skręcać.

- A jeśli otworzą ogień? – spytał kapitan poprzedniego dnia, wbijając w Luca uważne spojrzenie.

No tak, to pytanie musiało w końcu paść.

- Nawet jeśli to zrobią, nie użyją ciężkiej broni – odparł najemnik. – Będą się bali uszkodzić statek. To piraci, a nie szaleńcy. Niezależnie od tego, czy chodzi im o okup, czy przechwycenie ładunku, będą musieli wejść na pokład, by go wyegzekwować.

- Wolałbym, żeby te ścierwojady nigdzie nie wchodziły.

- Ja też, ale musimy być przygotowani na każdą ewentualność. Mój kolega może to potwierdzić – Luc skinął głową w stronę kompana, który stał obok i w milczeniu przysłuchiwał się rozmowie.

- To prawda – niskim głosem przyznał Jacques. Towarzysz był wzrostu Luca, ale ze dwa razy odeń szerszy. Żołdacki uniform trzeszczał na jego ramionach jak naciągnięta plandeka. Przy drugim najemniku i jego tyczkowatej posturze wyglądał jak czołg zaparkowany obok latarni. Był też brodaty i – zapewne dla kontrastu – kompletnie łysy.

- Jakoś nie czuję się spokojniejszy – skrzywił się Ostrogoff.

- Zadbamy i o to – pojednawczo odparł Luc. – Przede wszystkim musi pan mieć świadomość, że walka na pokładzie jest ostatecznością. Piraci nie mają hipernapędów, więc wystarczy, że wyprowadzi się „Persefonę” do czystego sektora, i można uciekać w diabły.

- Wiem o tym, ale jeśli zaatakują za wcześniej?

- Siła wyższa – mruknął Jacques.

- Siła wyższa? – obruszył się kapitan. Wycelował palec w stronę pobliskiego okna, za którym widać było odległe skrzydło stacji orbitalnej, w której się znajdowali. Przy jednym z doków tkwił przysadzisty kadłub „Persefony”. Dookoła krzątały się próżniowe ładowarki prowadzące załadunek. – Mam wylecieć stąd z trzema tysiącami kontenerów! Wiecie, ile może mnie kosztować wasza siła wyższa? Każda cholerna tona jest na wagę złota! Jeśli coś stanie się ładunkowi, pracodawca usmaży najpierw mnie, a potem was. Na wolnym ogniu.

- Pański pracodawca wynajął nas właśnie po to, by w miarę możliwości obeszło się bez kulinarnych atrakcji – skwitował Luc. – Na pewne rzeczy nawet my nie mamy jednak wpływu. Postaramy się zabezpieczyć „Persefonę” na wypadek abordażu i będziemy służyć radą, ale tego, jak szybko po starcie piraci wpakują nam w plecy rakietę, nie potrafimy przewidzieć. Walka z tymi patałachami to w dużej mierze improwizacja.

- Że też dałem się namówić na zlecenie w tym rejonie – Ostroff z niesmakiem pokręcił głową.

- Przyznaję, układ Torino-Catanga nie należy do najprzyjaźniejszych. Ale i tu prowadzi się handel. Więc skoro inni mogą, pan też sobie poradzi.

- Nie bierz mnie pan pod włos – kapitan pogroził Lucowi palcem, uśmiechając się jadownicie.

- Jakże bym śmiał – odrzekł najemnik.

Układ Torino-Catanga składał się z dwóch planet krążących wokół niewielkiego słońca. Torino była niewielka i skalista. Miała jednak tak bogate złoża, że wydobywano na niej niemal całą tablicę Mendelejewa. W jej miastach kwitł przemysł i handel, a na orbitalnych stacjach dokowały dziesiątki transportowców, czekających na towar. „Persefona” była jednym z tych statków.

I wszystko byłoby pięknie, gdyby nie Catanga. Jej rozległe, piaszczyste pustkowia nie mogły zaoferować ludziom nic poza głodem i odwodnieniem. Mieszkańcy żyli w miastach przypominających oazy i w większości trudnili się polowaniem na węże i kopaniem studni głębinowych. Pora deszczowa nastawała na Catandze raz na kilkanaście miesięcy. Wtedy to rozkwitała bujna roślinność, której owoce zbierano i przechowywano jako zapasy na czas kolejnej suszy. Bywało jednak, że deszcze spóźniały się, a zapasy ulegały wyczerpaniu. Catangianie umierali wtedy tysiącami, i nawet humanitarna pomoc z Torino niewiele zmieniała. Często zresztą nie było jej wcale, gdyż sąsiedzi traktowali oschłych ludzi pustyni z wyższością lub przynajmniej z dystansem.

Szybko więc stało się dla Catangian jasne, że nie dostaną nic, jeśli sami sobie tego nie wezmą. Co bardziej charyzmatyczni z nich jęli organizować bojówki, które z szemranych źródeł zdobywały stare ścigacze i orbitalne ciągniki, a następnie przerabiały je na prymitywne statki bojowe. Takim sprzętem poczęli nękać transportowce przelatujące przez system w drodze z Torino.

I prędko doszli do wniosku, że interes się opłaca.

- Macie jeszcze jakieś genialne pomysły? – Ostroff skrzyżował ręce na piersi.

Luc zamyślił się na chwilę.

- Trzeba dozbroić statek – stwierdził wreszcie.

- Niby czym? Mrożonymi warzywami?

- Wszystkim, co da się przerobić na broń.
- Gaśnice – niewzruszonym tonem wtrącił Jacques.
- Że co? – skrzywił się kapitan.

Z pomocą pospieszył Luc:

- Niektóre statki mają w burtach zamocowane miotacze piany na wypadek, gdyby gdzieś na zewnątrz wybuchł pożar. Zdziwiłby się pan, jakie efekty przynosi napełnienie ich na przykład jakąś lepką, napromieniowaną breją. Widziałem transportowca, który oślepił w ten sposób piracką jednostkę, a potem dał nogę.

- Nic z tego – Ostrogoff pokręcił głową. – „Persefona” nie ma takiego sprzętu.

- W takim razie wymyślimy coś innego... Jeśli dranie podejda blisko, można ich potraktować pustym kontenerem.

- Co takiego? Nie, nie, nie, chwileczkę – kapitan zamachał rękami, chcąc powstrzymać kolejne pomysły. – Cóż to za absurdałne metody? Nie będziemy w nikogo rzucać kontenerami. Ani pustymi, ani tym bardziej pełnymi. Jeśli na statku nie ma normalnej broni, to znaczy, że nie mamy ciskać w sukinkotów czym popadnie, tylko jak najszybciej się stamtąd zwijać. Rozumiecie?

- Oczywiście – odparł Luc. – Aczkolwiek słyszałem o przypadku, w którym dobrze wycelowany kontener...

- Dość! – zagrmiał Ostrogoff. – Jeśli natychmiast nie przestaniecie, dzwonię do Centrali i obwieszczam, że rezygnuję z waszych usług! Doceniam dobre chęci, ale zacznijcie wreszcie rozważać realne opcje, bo za chwilę mi zaproponujecie, żebym ostrzelał piratów wykałaczkami!

- To akurat nie byłby najlepszy pomysł – przekornie zaczął Luc, ale, widząc minę zleceniodawcy, natychmiast dodał: - Oczywiście, rozumiemy sytuację.

- To dobrze. Bo w tej chwili obawiam się tylko tego, co może się stać, jeśli tamci otworzą ogień.

- Spokojna głowa – rzekł najemnik. – Coś się wymyśli.

Pocisk przeszedł pod kadłubem, ocierając się o poszycie. We wnętrzu statku dało się słyszeć odległy, ale przenikliwy zgrzyt. Wszyscy czekali na niechybną eksplozję, ale ta nie nastąpiła.

- Nie wybuchł! – wykrzyknął Ostrogoff z tryumfalną miną.

- Chyba mieliśmy szczęście – zauważył Luc. - Pocisk musiał być wadliwy!

- Chwała handlarzom broni za rozprawianie niesprawnego szmelcu! Nie sądziłem, że tak mnie kiedyś ucieszy cholerny demobil!

- Mam nadzieję, że nie kupili tego więcej. Następna sztuka może być już w lepszym stanie.

- Niczego nie uzbrajają, wstrzymali ogień - poinformował nawigator. - Chwileczkę...

- Co jest? - zaniepokoił się kapitan.

- Mamy transmisję.
- Z którego statku?
- Tego przy burcie.
- Dawaj ją na głośniki.
- Naprawdę chce pan z nimi rozmawiać? - zdziwił się Luc.
- Ja nie. Pan - oświadczył Ostrogoff.

Najemnik chciał zaprotestować, ale wtedy z głośników dobiegł trzask, a potem rozległ się w nich wyraźny, męski głos. Mówił z mocnym, catangiańskim akcentem.

- Do załogi statku "Persefona", słyszycie mnie?

Luc spojrzał na kapitana ze skonsternowaną miną. Tamten zachęcił go ponagląjącym gestem.

Najemnik cicho odchrząknął, po czym odpowiedział, najpewniej jak potrafił:

- Tak, słyszymy.
- Świetnie. Podchodzimy z boku, otwórzcie nam luk towarowy.
- "Coś jest nie tak" - pomyślał Luc. I nie chodziło mu o sam akt abordażu, który i w tych stronach nie uchodził rzecz jasna za powszechną formę aktywności towarzyskiej. Pewien inny szczegół był jeszcze bardziej niepokojący.
- Jak rozumiem, nie mamy specjalnego wyboru? - odparł najemnik.
- Dobrze rozumiesz. Wpuśćcie nas, albo znów zaczniemy strzelać.
- Niedoczekanie wasze! - wykrzyknął zniecierpliwiony Ostrogoff.

- Kto to? - spytał pirat.

- Nikt, już w porządku - odparł Luc, rozpaczliwymi gestami próbując zmusić kapitana do milczenia. Ten jednak najwyraźniej uparł się, by uczynić trudne negocjacje jeszcze trudniejszymi.

- Dowódca "Persefony"! - rzekł z dumą. - I uwierz mi, chłopcze, tanio skóry nie sprzedam!

- Mam taką nadzieję. Ale najpierw chcemy znaleźć się na waszym pokładzie.

- A co będziemy z tego mieć?

Luc nachylił się w stronę kapitana.

- Niech pan gra na czas - szepnął. Następnie oddalił się na stronę i wydobył z kieszeni komunikator. Jednym uchem przysłuchując się rozmowie, spróbował połączyć się z Jacques'em. Ale tamten nie odpowiadał.

„Coś musiało się stać” - pomyślał najemnik. „Cholera, akurat teraz, gdy potrzebuję pomocy”.

- Lepiej nas nie drażnić - spokojnie oznajmił pirat, choć groźba w jego głosie była aż nadto

wyczuwalna.

- Rozumiem, ale chcielibyśmy wiedzieć, jakie wymierne korzyści czekają nas, jeśli...

- Nie będziemy negocjować! – wściekły ryk w głośnikach był tak intensywny, że wszystkie odłamki, którymi zasypany był mostek, zaczęły podskakiwać. – Otwórzcie ten durny luk, albo sami wypalimy sobie drogę do środka!

Ostrogoff spojrzał na najemnika pytającym wzrokiem. Tamten schował komunikator do kieszeni i skinął głową.

- W porządku – rzekł kapitan.

- Nareszcie zmadrzeliście – odparł głos, już spokojniejszy.

- Dajcie nam trochę czasu – znienacka wtrącił Luc. – Przy włązie poprzewracały się kontenery. Musimy usunąć zator.

- W porządku. Macie dwadzieścia minut. I ani sekundy dłużej.

Pirat rozłączył się.

- Naprawdę coś się stało z ładunkiem? – zdziwił się kapitan.

- Nie, ale potrzebujemy czasu.

- Będziemy się bronić?

- Nie mamy wyboru.

- To mi się podoba! – wykrzyknął Ostrogoff. – Nie oddamy psu bratom ani kontenera!

- Obawiam się, że to walka o dużo wyższą stawkę.

- Mianowicie?

- Jeśli piratom chodzi wyłącznie o ładunek, dlaczego strzelali do nas Hefajstosem? Gdyby pocisk był sprawny i trafił, nic by po nas nie zostało. Trochę ryzykowna ta ich taktyka.

- Może chcieli nas tylko nastraszyć?

- Nie wydaje mi się.

- Ale przecież teraz sami chcą, żeby wpuścić ich na pokład – zaprotestował kapitan.

- Bo ich poprzedni plan nie wypalił.

- Jaki znowu plan, do cholery?

- Zniszczenie „Persefony”.

Na kilka sekund zapadła grobowa cisza.

- Co takiego? – nastroszył się Ostrogoff.

- Wydaje mi się, że draniom nie chodzi o okup ani zdobycie czegoś, co przewożymy. Z jakiegoś powodu chcą nas wszystkich jedynie wysłać na tamten świat. Nie udało im się rakieta, więc wprowadzili plan awaryjny i robią to osobiście.
- Ale dlaczego? Czym im zawiniliśmy? – wykrztusił nawigator, wstrząśnięty nowiną.
- Czy w którymś z kontenerów mamy jakiś nietypowy ładunek? – spytał Luc kapitana.
- A bo ja wiem? Jest tam wszystko, od naczyń kuchennych po rowery. Nie zaglądałem osobiście do każdego pudła.
- Podejrzewam, że przewożymy coś, na czego zniszczeniu bardzo tym draniom zależy. Nie widzę innej opcji.
- No dobra, tylko co? – zafrasował się Ostroff.
- Jeszcze nie wiem, ale spróbuję się dowiedzieć – odparł najemnik, ruszając w stronę wyjścia z mostka.
- Dokąd to?
- Muszę odszukać współnika. Nie zamierzam bronić naszych tyłków w pojedynkę.

Luc pobiegł wąskim, brudnym korytarzem w stronę rufy statku. Echo jego kroków niesło się po pustych, pokrytych zaciekami ścianach. Szykowała się prawdziwa walka, a on potrzebował pomocy Jacques'a. Co innego zgrywać fachowca, a co innego chwycić karabin i własnoręcznie odpierać abordaż. Do chwili ataku Luc miał nadzieję, że uda im się uniknąć kłopotów. Zdecydowanie nie czuł się stworzony do tej roboty i przeklinał biurokrację, która zaledwie tydzień temu zmusiła go do jej wykonywania.

Nie przebył nawet połowy drogi, gdy natknął się na mechanika, podążającego w przeciwnym kierunku.

- Dobrze, że pan jest! – wykrzyknął mężczyzna. Był kościstym, siwiejącym człowieczkiem, odzianym w nieskazitelnie niebieski uniform z podkasanymi rękawami. Najemnik nie miał pojęcia, w jaki sposób tamtemu udawało się utrzymać strój w takiej czystości, choć ręce miał upačkane smarem aż po łokcie. – Pański kolega...
- Co z nim?
- Od wstrząsów otworzył się jeden z górnych kontenerów. Wyspały się jakieś paczki, a pana kolega stał akurat na dole i wszystko spadło na niego.
- Żyje?
- Tak, ale solidnie go potłukło.
- Cholera. Gdzie jest?
- W ładowni – odparł mechanik. – Odciągnąłem go na bok, w bezpieczne miejsce i od razu pobiegłem po...
- Jak to „odciągnąłem”?

- Jest nieprzytomny.

Najemnik poczuł, jak uginają się pod nim nogi. Owszem, przejął się losem kompana, ale równie mocno uderzył go fakt, iż najwyraźniej został sam na sam z tym całym bałaganem. Jacques znał się na swoim fachu, a Luc głównie potrafił robić dobre wrażenie. Bez wsparcia towarzysza czuł się chwilami jak kiepski pływak, który stracił z oczu ratownika.

Ta misja miała wyglądać zupełnie inaczej.

- Dobra – westchnął, czując na barkach ciężar dorównujący chyba całej „Persefonie”. Razem z ładunkiem. – Niech mi pan pokaże, gdzie on jest.

Po wyjściu z gabinetu Ostrogoffa Luc i Jacques usiedli przy barze w pobliskiej kantynie i zamówili kolejkę torińskiej zielonej whisky. „Persefona” wyruszyła następnego dnia, formalnie nie byli więc jeszcze na służbie. Zamierzali skorzystać z ostatniej okazji do wiania w gardło czegoś mocniejszego.

- Ile transportów już ochraniałeś? – zagaił Luc, powoli sącząc trunek i dyskretnie obserwując urodziwą barmankę.

- Przestałem liczyć – odparł kompan, odstawiając pustą szklankę na kontuar. Obsługująca ich dziewczyna natychmiast uzupełniła poziom napoju.

- Można stracić rachubę, co? Pewnie nie raz było gorąco.

- Fakt – odrzekł Jacques z właściwą sobie zwięzłością. – Parę razy oberwało się z miotacza – dodał po chwili.

- Serio? – pobladł Luc.

- No ba. Arturia, Primo Pascali czy systemy Belurii to nie są przyjemne miejsca. A ty gdzie wcześniej latałeś?

- Ja, cóż... – spochmurniał Luc. – Tu i tam – przez chwilę bił się z myślami. – Wiesz, muszę ci się do czegoś przyznać. Powinieneś to wiedzieć, jeśli mamy razem pracować.

- Tak?

- To głupio zabrzmiało, ale nie byłem wcześniej na takiej robocie.

Jacques wlepił w towarzysza uważne spojrzenie. Powoli uniósł brwi.

- Nie jesteś najemnikiem?

- Nie. Tak. Znaczący się, teraz już jestem. Pracuję w agencji wynajmującej ochroniarzy, ale nigdy wcześniej nie latałem na akcje. Siedziałem w centrali i zajmowałem się planowaniem. Przydziały, zasoby ludzkie i te sprawy, rozumiesz.

Nawet jeśli Jacques rozumiał, wyraz jego twarzy nie zmienił się ani o jotę.

- Więc co tu robisz?

- Firma miała kłopoty, nie wywiązała się z kilku umów i przewoźnik się wściekł. Powiedział, że

anuluje wszystkie kontrakty naszych ochroniarzy i poszczuje nas prawnikami.

- Słyszałem coś o tym.

- Ponieważ nie chcieliśmy stracić kontrahenta – kontynuował Luc – agencja zaczęła chuchać i dmuchać na wszystkie jego aktualne zlecenia. No i nagle okazało się, że jeden ze statków nie ma dostatecznej obstawy i przypisany jest do niego tylko jeden najemnik.

- Ja.

- Tak, ty. No i zaczęto na gwałt szukać drugiego. Jak na złość, wszyscy dostępni ludzie byli już zakontraktowani gdzie indziej. A potem ktoś wygrzebał w papierach, że parę lat temu przeszedłem szkolenie strzeleckie. No i wpadłem jak śliwka w kompot.

Jacques zamyślił się.

- Czyli strzelać umiesz? – spytał w końcu.

- Skąd! – machnął ręką Luc. – Miałem kiepskie wyniki. Ale jakoś zaliczyłem, bo każdy pracownik centrali musiał mieć pieczętkę w papierach. Od tamtej pory nie miałem miotacza w dłoni. Znam się trochę na taktyce, rozróżniam rodzaje sprzętu, ale, do cholery, nie potrafię walczyć!

Brodaty najemnik bez słowa chwycił stojącą przed nim szklankę i pochłonął całą jej zawartość jednym haustem.

- Przydzielili mi żółtodzioba, motyla noga – rzekł do siebie.

Było to bodaj najgorsze przekleństwo, jakie Luc usłyszał z jego ust.

- Głupio mi, że tak wyszło, ale nie miałem wyboru.

- Nie mogłeś odmówić?

- Mogłem, ale wtedy wylaliby mnie na zbity pysk bez odprawy i wystawili paskudne referencje. Więc pomyślałem, że zaryzykuję, a nuż lot będzie spokojny.

- W tym sektorze mało jest spokojnych lotów – odparł Jacques. – Ale może, jeśli będziemy mieć szczęście...

- A jeśli nie będziemy?

- Wtedy trzymaj się blisko mnie i celuj tylko tam, gdzie ja.

- To wszystko?

- Tak. A poza tym możesz dalej odgrywać fachowca – brodaty najemnik wyszczerzył się w uśmiechu.
- U Ostrogoffa nieźle ci szło.

Jacques leżał nieruchomo pod jedną z grodzi. Na głowie sterczał mu guz rozmiarów Kilimandżaro. Tuż obok spoczywał miotacz.

Luc pochylał się nad kompanem i z uporem klepał go to w jeden policzek, to w drugi.

- Może sole trzeźwiące by pomogły? – zaproponował mechanik.

- A ma pan jakieś?

- Nie...

Najemnik przewrócił oczami i wyprostował się.

- Więc chyba nic z tego – sapnął. – Musimy poradzić sobie sami.

- Ale jak?

- Tak samo, jak w większym składzie. Trzeba będzie odeprzeć atak.

Luc nie chciał tego mówić, ale wiedział, że nie ma wyboru. Czy mu się to podobało, czy nie, musiał robić to, do czego został tu oddelegowany. Wątpił, by piraci zamierzali słuchać czyichkolwiek tłumaczeń. Jeśli wejdą na pokład, najpewniej wpakują każdemu, począwszy od najemnika, a na kapitanie skończywszy, kulę w łeb. Taka alternatywa zdolna była obudzić wojownika w największym pacyfiście.

- Ale czym? – mechanik rozejrzał się bezradnie.

- Mamy dwa miotacze. Jeden chwilowo jest wolny, więc ktoś będzie mógł go wziąć. Wie pan, gdzie jest spust?

- Ja? Ale... Ja się nie znam na broni! Nie mam pojęcia o wojaczce!

„To jest nas dwóch” – pomyślał Luc. Tę refleksję zachował jednak dla siebie.

- Więc będzie się pan musiał podszkolić – odparł, spoglądając na zegarek. – Mamy dziesięć minut. Chyba wystarczy na trening, co? – podniósł broń Jacques'a i wręczył ją przestraszonemu rozmówcy. – Niech pan tu zaczeka, przyniosę swoją pukawkę. Została w kajucie.

Po czym potruchtał między stosami kontenerów w stronę wyjścia z ładowni.

Wtem wydało mu się, że tuż obok dostrzegł jakiś ruch.

Gwałtownie przystanął. Zwierzę rozmiarów kota przebiegło w poprzek bocznej alejki i znikło gdzieś za rogiem.

- Co u licha? – mruknął najemnik, ale wnet przypomniał sobie, że na niektórych transportowcach wciąż jeszcze stosuje się naturalne metody tępienia gryzoni. Buszujący po ładowni sierściuch nie powinien go dziwić. Ech, a może tak na wypadek abordażu zacząć hodować tygrysy? Luc uśmiechnął się do tego pomysłu i właśnie wtedy jego wzrok padł na duży kształt mający w głębi zaułka.

Stał tam masywny podnośnik, służący do przemieszczania kontenerów podczas załadunku w stanie nieważkości.

W głowie najemnika zaświtał nowy pomysł. Mężczyzna odwrócił się na pięcie i pognął do miejsca, gdzie zostawił mechanika. Zastał go na dziarskim przechadzaniu się z podniesionym miotaczem i celowaniu do wyimaginowanych przeciwników.

- O, to pan – speszył się człowieczek, z zakłopotaniem opuszczając broń. – Nie przyniósł pan swojej zabawki?

- Nie - odparł Luc. - Znalazłem coś lepszego.

W kokpicie pirackiej jednostki siedziało trzech mężczyzn. Z trudem mogli się poruszać, bowiem pomieszczenie wypełnione było podręczną bronią, pudłami z wyposażeniem i przypominało raczej zagracony magazyn. Wtem najważniejszy z Catangiańczyków wstał i przecisnął się w stronę kompanów.

- Ile czasu zostało? - spytał tego, który siedział przy sterach.

- Dziesięć minut.

- Ruszamy. Celuj we wrota.

- Już? - zdziwił się pirat. - Ale zostało im jeszcze...

- To my dyktujemy warunki, a mnie się nie chce czekać. Ruszaj.

- Skoro wchodzimy siłą, to znaczy, że jednak ich wytłuczemy?

Dowódca uśmiechnął się z politowaniem.

- Tak, durniu. Przecież i tak mieliśmy to zrobić.

Ładowarka była duża, brudnopomarańczowa i przypominała skrzyżowanie furgonetki z wózkiem widłowym. Umieszczone z przodu magnetyczne chwytaki unieruchamiały kontener, który można było przenieść w dowolne miejsce niczym paczkę zapalek. Do poruszania się po ładowni podnośnik wyposażony był w koła. W wypadku braku grawitacji można było jednak uruchomić silniki korekcyjne, pozwalające na swobodne manewrowanie.

Plan Luca był tyleż prosty, co szalony. Najpierw wraz z mechanikiem założyli skafandry, po czym wgramolili się do maszyny; sprzęt nie miał drzwi - operatorzy pracujący nim na zewnątrz musieli być więc odpowiednio odziani. Potem wybrali jeden z kontenerów, masywniejszy od pozostałych, przeznaczony do transportu delikatnych towarów, i przenieśli go do przestronnej śluzy załadunkowej, która sąsiadowała z ładownią. Tam ustawili podnośnik na wprost wrót prowadzących na zewnątrz. Następnie uruchomili systemy usuwające powietrze z pomieszczenia i wyłączyli grawitację. Maszyna zawisła w powietrzu. Od wyjścia ze śluzy dzieliło ich kilkadziesiąt metrów.

- Taki odcinek wystarczy, żeby się rozpędzić? - spytał Luc przez radio.

- Ten szmelc ma przyspieszenie staruszki z zakupami - zrezygnowanym głosem odparł mechanik. - Ale powinno wystarczyć - dodał na pociechę.

- Mam nadzieję. Pamięta pan, co robić?

- Tak. I proszę mi mówić Gilbert. Wolę zginąć u boku kogoś, z kim jestem na „ty”.

Najemnik popatrzył na tamtego, nie wiedząc, co powiedzieć.

- Mów mi Luc - odparł w końcu. - Tyle że ja nie zamierzam tu dziś umierać.

Gilbert chciał coś odrzec, ale przerwał mu głos kapitana, który rozbrzmiał z głośników w hełmach.

- Jesteście tam? Dranie ruszyli do śluzy!

- Przed czasem?

- Na to wygląda.

- Ostro pogrywają – skwitował Luc. – W porządku, zaczynamy – zwrócił się do mechanika. – Zacznij otwierać wrota. Jak zobaczą, że współpracujemy, nie zaczną strzelać. Przynajmniej nie od razu.

- Się robi – Gilbert wduślił jeden z przycisków na pulpicie ładowarki.

Potężne drzwi drgnęły i zaczęły się unosić. Mężczyźni w podnośniku wpatrywali się w nie ponad krawędzią kontenera jak zahipnotyzowani, bojąc się myśleć, co czai się po drugiej stronie. Tymczasem szczelina rosła z każdą sekundą.

- Ustawiają się naprzeciwko – zniecierpliwiony obwieścił kapitan. Luc aż drgnął na ten niespodziewany dźwięk.

Piracki statek nie był jeszcze widoczny, ale na pewno zaraz go zobaczą.

- Rozumiem – wychrypiął najemnik, czując, że potwornie zaschło mu w gardle. – Gilbert, gaz do dechy.

Mechanik skinął głową, a potem zacisnął dłonie na manipulatorach i pchnął je do przodu. Podnośnik ruszył z miejsca.

Wrota były otwarte mniej więcej do jednej trzeciej wysokości. Luc miał nadzieję, że wszystko dobrze wyliczył i nie zawadzą o nie.

Do burty zostało czterdzieści metrów.

Oby tylko tamte sukinkoty ustawiły się na wprost, powtarzał w myślach najemnik. Oby tylko...

I wtedy zobaczyli, że spod dolnej krawędzi wrót wyłania się dolna część statku piratów. Kanciasty, zgniłozielony kształt czekał tuż za wejściem do śluzy.

A ono było już w połowie otwarte.

Jeszcze dwadzieścia metrów.

Dźwigająca się stalowa bariera odsłaniała kolejne elementy maszyny intruzów; płyty poszycia, nieregularne narośle czujników i zasobniki z uzbrojeniem. Jeszcze chwila i Luc z Gilbertem będą mogli zajrzeć tamtym do kokpitu. Najemnikowi zdawało się, że dostrzega nity na kadłubie nieprzyjacielskiego statku. Ciekawe, czy piraci wykryli już niespodziewany ruch.

Dziesięć metrów.

- Teraz! – wrzasnął Luc.

Mechanik zwolnił zaczepy trzymające kontener i dał całą wstecz.

Kilkudziesięciotonowa bryła stali oderwała się od ładowarki i podryfowała w stronę wylotu śluzy.

Podnośnik zaczął hamować, ale zanim się zatrzymał, zdążył dolecieć niemal do samych wrót. Potem ruszył z powrotem.

Kontener był już wtedy za burtą „Persefony”. Piraci, rzecz jasna, zauważyli ten osobliwy pocisk. Wolno i nieubłagane sunął w ich stronę. Odpalili silniki korekcyjne i zaczęli odbijać w bok.

Ale byli za blisko.

Kontener uderzył w statek Catangiańczyków. Trafił w krawędź kadłuba, miażdżąc wystającą zeń antenę i zasobnik z rakietami.

A potem stało się coś, o czym Luc nie śmiał nawet marzyć. Chciał uszkodzić tamtych, pozbawić ich części systemów. Przy odrobinie szczęścia, byłoby wspaniale, gdyby udało się unieszkodliwić kokpit, lub zrobić cokolwiek, co opóźniłoby ponowny atak.

Tymczasem statek piratów eksplodował.

Zgnieciona wyrzutnia rakiet wybuchła, odrzucając pojazd jak zabawkę. Kontener odskoczył w drugą stronę, z lekko wgniecionym boki. Zaś trafiona maszyna szybowała przez chwilę, obracając się bezwładnie. A potem pochłonęła ją kolejna kula ognia.

Luc i Gilbert nie widzieli już tego, gdyż podnośnik zdążył cofnąć się daleko w głąb śluzy. Dowiedzieli się jednak, co zaszło, z nagłego rozbłysku na zewnątrz i odłamków kadłuba, które chwilę później wpadły przez niedomknięte wrota. A także dzięki histerycznej radości Ostrogoffa, który w słuchawkach wrzasnął tak głośno, iż prawie urwało im głowy.

- Macie za swoje, nedorajdy! - krzyczał. - Nie zadziera się z „Persefoną”!

Gdy najemnik i Gilbert pojęli, jaki był efekt ich ataku, z przejęcia o mało nie wpadli ładówką na ścianę. Gdy już wysiedli, a do zamkniętej śluzy zaczęło wracać powietrze, uściskali się, krzycząc wniebogłosy za szybami swych skafandrów. Gdyby ubiory pozwalały na większą swobodę ruchów, najpewniej zaczęliby skakać z radości.

Gdy pierwsza euforia opadła, Luc połączył się z mostkiem.

- Kapitanie, czy teraz skok byłby możliwy? Zakładam, że odłamki nie będą nam specjalnie przeszkadzać.

- Eee... hmm... tak - odezwał się kapitan, wyraźnie zmieszany. - Teoretycznie.

- Coś się stało?

- Tak, obawiam się, że mamy tu mały problem.

Luc miał wrażenie, że podłoga ucieka mu spod stóp.

- Jaki? - spytał przez zaciśnięte gardło.

- Jest jeszcze jeden statek. Właśnie się pojawił.

- No to zwiewajmy! Zdążymy uciec, zanim się zbliży - wtrącił Gilbert.

- To byłoby zbyt proste - mruknął Ostrogoff. - Drań leci przed nami.

Z wysiłkiem dotargali Jacques'a na mostek. Najemnik ciągle się nie ocknął, więc położyli go pod ścianą, na przyniesionym z kajuty materacu. Luc bał się zostawiać kompana na osobności.

Potem zebrali się przed ekranem, na którym nawigator wyświetlił obraz sytuacji. Nowa piracka jednostka była większa od pozostałych. Wyglądała też na lepiej uzbrojoną. Kształtem przypominała dużą, stalową piranię, której ktoś pozwolił popływać w próżni. Sunęła na wstecznym ciągu, dziobem zwrócona do nich.

W tym czasie statek, który dotąd trzymał się z tyłu, też zaczął zbliżać się do "Persefony".

Kapitan wpatrywał się odczyty z ponurą miną. Potem spojrzał na pozostałych.

- Jesteśmy w punkcie wyjścia - mruknął. - Albo i gorzej. Teraz przestaną się z nami cackać.

- Jak dotąd wcale tego nie robili, a jeszcze żyjemy - zauważył Luc. Sam jednak czuł wzburzoną bezradność. Nowy statek musiał krążyć gdzieś w tym sektorze. Może przyleciał sam, a może tamci wezwali go na pomoc. A co, jeśli w okolicy jest ich jeszcze więcej?

- Co oni robią? - spytał Gilbert, wskazując na piratów za rufą.

- Pewnie spróbują przebić się do środka - odparł Ostroff. - Ci z przodu mają nas w szachu. Uzbrowili wszystkie rakiety, jakie mieli na pokładzie. Nawet gdybyśmy spróbowali ich ominąć, a potem wykonać skok, wpakowaliby nam w burtę taką salwę, że "Persefona" rozpadłaby się przy rozpędzaniu.

- No to po nas - jęknął mechanik, kładąc dłoń na czole, jakby pragnął sam siebie uspokoić.

- Mam pomysł - odezwał się Luc. - Po prostu dajmy im to, czego chcą.

- Ale nie wiemy, co to jest!

- Idę o zakład, że gdy już to znajdziemy, nie będziemy mieć wątpliwości.

Prawdę powiedziawszy, Luc nie miał pojęcia, jak zabrać się za poszukiwania. Wolał jednak działać niż tkwić beczynn timer na mostku w oczekiwaniu na kolejny atak. Zarzucił więc miotacz na plecy i pośpieszył do ładowni. Tam skręcił w pierwszy lepszy zaułek między kontenerami, i poturczał przed siebie, licząc na to, że coś rzuci mu się w oczy. Od czasu do czasu stukał w wielkie skrzynie kolbą, jakby chcąc sprawdzić, czy za każdym razem odpowie mu to samo, metaliczne echo.

Ale odpowiadało.

Tu i tam najemnik zerkał na etykietę z opisem towaru, ale nie trafił na nic szczególnego. Lampy, meble, narzędzia, ciuchy, zabawki, ceramika. Przekrój przez cały eksport Torino. Złośliwi żartowali czasem, że każdy dorosły Torińczyk musi w swoim życiu zrobić buty, kosiarkę i stół do kawy. Jak na złość, „Persefona” zdawała się przewozić dzieła co najmniej połowy populacji planety. Co gorsza, jeśli gdzieś tutaj naprawdę znajdowało się coś, za co warto było zabić, to czy etykieta by o tym mówiła?

Luc zaklął pod nosem, nie przerywając pośpiesznego marszu. Zaczynał się niecierpliwić i pewnie w końcu wróciłby na mostek, gdyby znów nie spotkał zwierzęcia.

To było to samo stworzenie, co poprzednio. Z tą różnicą, że teraz widział je dużo wyraźniej. Siedziało na środku alejki, w którą wszedł, i przyglądało mu się bystrymi oczkami.

Dopiero teraz Luc dostrzegł, że choć dorównywało rozmiarami kotu, na pewno nim nie było. Miało długi, wąski pysk, ogon zakończony kitką i sierść w niebieskie, opalizujące pręgi.

Limir.

Najemnik nigdy wcześniej nie widział żywego okazu. Limirów było niewiele i można było je spotkać tylko w kilku zakątkach Catangi. I to wyłącznie tam, gdzie ostatnie enklawy zieleni nie poddały się naporowi piasku. Stworzenia te były przez ludzi pustyni uważane za święte – tyle zapamiętał Luc z któregoś z popularnonaukowych programów, które tak lubił, gdy jeszcze nie musiał udawać zabijaki.

Ale to oczywiście nie wyjaśniało, co ów niespodziewany gość robi w ładowni „Persefony”. Najemnikowi przebiegło przez głowę, czy byłby w stanie schwycić zwierzę.

Limir jakby usłyszał tę myśl. Niespodziewanie wstał i czmychnął w głąb zaułka.

- Hej, stój! – wyrwało się Lucowi. Poprawił pas, na którym wisiał miotacz, i ruszył w pościg.

Stworzenie skręciło w prawo, minęło kilka kontenerów, po czym pomknęło w zaułek po lewej. Najemnik gnał za nim, sam właściwie nie wiedząc, po co to robi.

Nie zdążył tego jednak przemyśleć, bo oto wypadł zza rogu i natknął się na niespodziewany widok.

W przejściu stał człowiek. I na tysiąc jeden procent nie był członkiem załogi. Miał ze dwa metry wzrostu, ciemnobrązową skórę i głowę ogoloną na łyso. Odziany był w długą, turkusową szatę, mieniającą się niczym sierść limira.

Pochylił się, wyciągając rękę do zwierzęcia, które w mgnieniu oka wdrapało się po niej i usadowiło na ramieniu mężczyzny. Ten uśmiechnął się i wyprostował. A następnie spojrzał na Luca.

Najemnik, który przez chwilę stał jak wmurowany, obserwując tę niecodzienną scenę, teraz drgnął jak oparzony. Gwałtownym ruchem porwał miotacz z pleców i wymierzył go w kierunku intruza.

- Stać! – wykrzyknął. I natychmiast poczuł się jak dureń, bo nieznajomy ani myślał się ruszać. Tkwił w miejscu, uśmiechając się tajemniczo.

- Kim pan jest? – spytał groźnie Luc, by do reszty nie stracić rezonu. - Co pan tu robi?

- Spaceruję - odparł tamten. A następnie odwrócił się na pięcie i jął oddalać.

Tego było już dla Luca zbyt wiele. Uniósł miotacz nad głowę i wypuścił krótką serię prosto w sufit ładowni. Echo wystrzałów było ogłuszające. Gdzieś w górze zadźwięczały rykoszety. Najemnik nie bał się o uszkodzenie poszycia - ręczna broń nie mogła zaszkodzić statkowi.

- Stać! - wrzasnął, mając nadzieję, iż tamten nie będzie zgrywał bohatera.

Nie zgrywał. Ba, sprawiał wrażenie kogoś, dla kogo wszelka bohaterszczyzna była pojęciem abstrakcyjnym.

Przystanął, odwracając się w stronę Luca.

- W czym mogę pomóc? - spytał, jak gdyby nigdy nic.

Najemnik podszedł doń, nie opuszczając broni. Trzymał ją mocno, by nie było widać, iż drżą mu ręce.

- Lubisz spacerować? - spytał. - To pójdziesz ze mną.

Powrót na mostek z jeńcem trzymanym na muszce wywołał niemałą konsternację. Kapitan zrobił wielkie oczy, Gilbert pobladł, a nawigator wbił się palcami w pulpit, jakby zamierzał wyrwać go z podłogi, by się nim bronić.

Nieznajomy tymczasem rozejrzał się po panującym dookoła bałaganie. Jego wzrok padł na wciąż nieprzytomnego Jacques'a.

- Wasz towarzysz ucierpiał? - spytał.

- A co ci do tego? - fuknął nań Ostroff. - Gadaj, coś za jeden!

- To Kirrim - poinformował mechanik.

- Kto?

- To po catangiańsku. Kirrim, czyli człowiek piasku.

- Skąd to wiesz?

- Czytałem o nich - Gilbert wzruszył ramionami. - Jedna czwarta populacji Catangi to Kirrimowie. Ale są też inne plemiona...

- Dobra, dobra, nie interesują mnie szczegóły. Chcę wiedzieć, co drań tu robi!

Nieznajomy przysłuchiwał się tej rozmowie z zainteresowaniem. Dobrotliwy uśmiech nie schodził mu z twarzy. Limir trwał przycupnięty na ramieniu mężczyzny i czujnym wzrokiem wpatrywał się w kapitana.

- Najwyraźniej podróżuje na gapę - stwierdził mechanik. - Żeby tylko wiedział, gdzie się schował, jak przed startem robiliśmy obchód ładowni!

- Może wylazł z kontenera? - zaproponował kapitan.

- Wykluczone, wszystkie są zaplombowane.

- Nie wiem jak wy - zaczął Luc - ale ja mam dziwne wrażenie, że to właśnie jego mogą szukać ci na zewnątrz.

- Obawiam się, że to prawda - niespodziewanie rzekł Kirrim.

Wszyscy spojrzeli na niego przenikliwie. Na mostku zapadła przeraźliwa cisza.

- A niech mnie - przerwał ją Ostroff. - To by wiele wyjaśniało! Gadaj, coś przeszkobał?

Kirrim spowaźniał.

- Sęk w tym, że nic - westchnął.

- Nie wierzę - uciął kapitan.

- Ale to prawda.

- Nawet jeśli, to nie zmienia to faktu, że piraci mają ochotę przerobić nas na mielone tylko dlatego, że cię transportujemy. Muszą cię pierońsko nie lubić.

Luc postanowił zastosować odmienną taktykę.

- Skoro nic nie przeszkrobałeś, to musisz stanowić dla nich jakąś wartość z innego powodu. Może chodzi o coś, co wiesz?

- Nie do końca, ale... – zaczął Kirrim. Przerwał mu okrzyk nawigatora.

- Mamy następnego!

- Cooo? – najeżył się Ostrogoff.

- Właśnie wleciał do sektora. Dogania nas. Duży jest, skurkowaniec.

- To na pewno piracki statek?

- Już skanuję bazę danych.

Wszyscy przesunęli się w stronę ekranów, by lepiej widzieć odczyty. Po chwili na jednym z wyświetlaczy pojawił się zarys obcego statku wraz ze słupkami danych na jego temat.

- Czy ja dobrze widzę? – kapitan aż przetarł oczy ze zdumienia. – To wojskowy niszczyciel?

- Na to wygląda.

- Skąd dokładnie leci?

- Najprawdopodobniej z Catangi.

- To oni mają flotę wojenną? A niech ich prąd popieści! Wygląda na to, że jesteśmy uratowani!

Nawigator pokiwał głową z uśmiechem.

- Odsiecz! – cieszył się Ostrogoff. – Ech, ile ja bym dał, żeby zobaczyć teraz miny tych pirackich psich synów!

Gilbert również wyglądał na zadowolonego. Luc dostrzegł jednak zafrasowaną minę Kirrima i poczuł, że jeszcze za wcześnie, by cieszyć się z czegokolwiek.

Pozostali również szybko to sobie uświadomili. Głównie dlatego, że na widok tak silnej jednostki pirackie statki nie uciekły spłoszone, jak to miały w zwyczaju. Niszczyciel był coraz bliżej, a one wciąż warowały przy „Persefonie”, jak gdyby nigdy nic. Nie było szans, by ich skanery nie wykryły statku o takich rozmiarach, a jednak nie uciekały. Luc byłby mniej zdziwiony, gdyby piraci rzucili się do nierównej walki, ale to zakrawało na jeszcze większy absurd.

Albo znowu.

- To niemożliwe! – wykrzyknął Ostrogoff, zdając sobie sprawę, czego są świadkami. – Kompletnie, jak w pysk strzelił, niemożliwe! – chwycił się za włosy, jakby pragnął wyrwać sobie kilka garści, i odwrócił się do Kirrima. – To wojskowa jednostka! – jęknął z rozpaczą. – Coś ty tam, człowieku,

nawyprawiał? Przewodziłeś chromolonej rewolucji?

Pasażer na gapę nie odpowiedział, ale na jego twarzy odmalowała się bezradność.

Luca rozboleła głowa. Nawet jak na wyjątkowo pechowy lot – doświadczyli już zbyt wielu wrażeń.

- Miał pan rację, kapitanie – westchnął, odwieszając broń na ramię – to odsiecz. Ale nie nasza. Cóż, przynajmniej wiemy, dlaczego piraci wstrzymywali kolejny atak. Czekali na wsparcie ogniowe.

- Ze strony armii – Ostrogoff pokręcił głową z niedowierzaniem. - Gorzej już chyba nie będzie, co?

- Chyba nie – przyznał najemnik i spojrzał na Kirrima. – Jak się nazywasz?

- Aterrun Ykm Ubban, z klanu Szesnastu Skorpionów – odparł tamten z poważną miną.

- A więc, drogi Aterrunie, ponieważ za kilka chwil najprawdopodobniej wszyscy zginiemy z twojego powodu, racz nam wyjaśnić, o co tu, do ciężkiej cholery, chodzi.

Kirrim trawił coś przez chwilę w myślach, po czym skinął głową.

- Zgoda. Chodźcie, coś wam pokażę.

Następnie ruszył do wyjścia z mostka. Kapitan skinął na Luca i Gilberta.

- Idźcie z nim i meldujcie mi o wszystkim.

- Zgoda – odparli tamci i ruszyli w ślad za gapowiczem.

Ledwie zdążyli jednak zrobić krok za drzwi, a stanęli jak wryci.

Korytarz prowadzący do dalszej części statku blokowało czterech mężczyzn. Byli równie wysocy i ciemnoskórzy, co Aterrun. Nosili też identyczne szaty.

I nie byłoby problemu, gdyby nie fakt, iż mierzyli do obstawy swego kompana z potężnych łuków. To zdecydowanie nie były dziecięce zabawki. Luc miał nieprzyjemne wrażenie, że strzała wypuszczona z takiego potwora z łatwością mogłaby przebić jego, gródź, komputery na mostku kapitańskim i zatrzymać się dopiero na poszyciu dziobowym „Persefony”. Oczywiście była to gruba przesada, ale profilaktycznie wolał nie wykonywać zbyt gwałtownych ruchów.

Kątem oka zauważył, że mechanik wyszedł z podobnego założenia.

Tymczasem Ykm Ubban przystanął tuż przed łucznikami. Wtedy zza uzbrojonych Kirrimów wyłonił się starszy mężczyzna. Był niski i nie tak łysy jak pozostali – z ramienia zwieszał mu się warkocz długich, siwych włosów. Skinął Aterrunowi głową, a potem obaj zwrócili się do Gilberta i najemnika.

- To Merrun Ykm Ubban – gapowicz przedstawił starca – mój ojciec.

- Bardzo nam... miło – wydukał Luc.

Z bliska dostrzegł, że twarz tamtego jest pomarszczona jak suszona śliwka. Nie wiedział, jak długo żyją mieszkańcy Catangi, ale ten tutaj wyglądał, jakby chodził po tym świecie od co najmniej półtora stulecia.

Gdy jednak się odezwał, głos miał pewny, a ton – zdecydowany.

- Nie ma czasu na kurtuazję – rzekł. – Chcę mówić z waszym kapitanem.

- Chwila, moment – nastroszył się Ostrogoff. – Byliście gdzie?

- W ładowni – ponownie oznajmił Merrun. Jego uzbrojeni towarzysze stali tuż za nim. Opuścili jednak łuki, co Luc przyjął z prawdziwą ulgą. Sytuacja na mostku i tak była wystarczająco napięta.

- W ładowni... – kapitan pokręcił głową, po czym zwrócił się do Gilberta z miną wyrażającą teatralne zdziwienie. – Byli w ładowni!

- Tak, właśnie tam – wtrącił Aterrun, przysłuchujący się rozmowie.

- A można spytać, gdzie? Bo chyba nie trzymaliście się za ręce, udając kontener?

- Nie. Byliśmy w jednym z nich.

- To niemożliwe. Wszystkie są zapieczętowane, sam widziałem. Nie ma możliwości otwarcia go od wewnątrz.

- Mieliliśmy zamaskowane wyjście. Na wszelki wypadek.

- To jakaś cholerna teoria spiskowa – kapitan załamał ręce i jął chodzić w kółko, nie zważając na rozmówców. – Po co to wszystko? Dlaczego, do kroćset, ktoś was przemycza?

- Musicie nas zrozumieć – zaczął Luc, spoglądając to na Aterruna, to na jego ojca. – To dla nas zupełne zaskoczenie. Ale jeżeli mamy wyjść z tego cało...

- Cało? – zachnął się Ostrogoff. – Naprawdę wierzysz, że jest wyjście z tej sytuacji? Bo na moje oko możemy się co najwyżej modlić, żeby kopnąć w kalendarz możliwie bezboleśnie!

Najemnik zignorował tę uwagę.

- Musicie nam powiedzieć, dlaczego wysłano za wami taki pościg. Jaki wspólny interes mają piraci i wojsko w tym, by was dopaść?

Kirrimowie wymienili wymowne spojrzenia. Potem odezwał się Merrun.

- Nasz klan został wyjęty spod prawa.

- Dlaczego?

- Bo sprzeciwiliśmy się Zgromadzeniu Mędrców. To najważniejsza instytucja dla wszystkich plemion Catangi. Podejmuje decyzje i ma ostatnie słowo w najistotniejszych sprawach.

- A wy czym podpadliście? – spytał Ostrogoff. – Oszukiwaliście przy grze w karty?

Starzec zignorował żart.

- Od tysięcy lat klan Szesnastu Skorpionów służył Kirrimom i innym plemionom Catangi najlepiej jak mógł. Niektórzy wodzowie doszli jednak do wniosku, że niewystarczająco się staramy. I postanowili zmusić nas do czynienia rzeczy niemożliwych.

- Nic z tego nie rozumiem – stwierdził kapitan.
- Ani ja - przyznał Luc. – Możecie wyrażać się jaśniej?
- Jesteśmy szamanami – odparł Merrun. – Mam nadzieję, że to wystarczająco zrozumiale.
- Tak... – bąknął najemnik, w istocie nie wiedząc, co odpowiedzieć.
- Szamanami? Więc co, odprawiacie czary, gotujecie magiczne zupy i tańczycie na wydmach o wschodzie słońca? – kapitan miał niewyraźną minę.
- Jeśli właśnie takie jest pańskie wyobrażenie o naszej profesji, to owszem, można tak powiedzieć.
- A niech mnie! Przemycamy bandę czarowników!

Luc wystraszył się w duchu, że lekkomyślność kapitana rozeźli Kirrimów, ale ci byli niewzruszeni. By jednak ratować sytuację, spytał:

- Można wiedzieć, czego zażądało od was Zgromadzenie?
- Chcieli, byśmy bezwzględnie podporządkowali się woli plemion, które pragnęły skorzystać z naszych usług. Niestety gdybyśmy to zrobili, zginęłoby wielu Kirrimów. Tyle że nikt nie chciał nas słuchać.
- A na czym polegają wasze usługi?
- Przywołujemy deszcz.

Kapitan plasnął się ręką w czoło z taką siłą, że po ścianach mostku poniosło się echo. Wszyscy popatrzyli na mężczyznę zaskoczonym wzrokiem.

- Już dobrze, kontynuujcie – bąknął Ostrogoff, oddalając się na stronę z miną człowieka, którego nic nie jest już w stanie zaskoczyć. – Nie zwracajcie na mnie uwagi.

- Deszcz? – spytał Luc po chwili konsternacji.

- Owszem – odparł Merrun. – Zajmujemy się tym od wielu pokoleń. Catanga to sucha planeta, ludzie przywołujący deszcz byli na niej od zawsze. To bardzo cenna umiejętność.

- Nie wątpię... Ale... wy tak naprawdę? Proszę mnie źle nie odebrać, ale mam rozumieć, że... jesteście skuteczni? Są technologie, które zajmują się tym samym, ale zakładam, że wy nie posypujecie chmur żadnym związkiem chemicznym?

- Oczywiście, że nie.

- Więc jak to możliwe?

Starzec wykonał rękami ruch, jakby próbował ogarnąć gestem sklepienie nad głowami zebranych.

- Wiele rzeczy jest możliwych. Ta jest jedną z nich – odparł.

Tymczasem najemnik doszedł do wniosku, że niedawna reakcja Ostrogoffa wcale go nie dziwi. Przed popukaniem się w czoło powstrzymywała go już wyłącznie czysta przyzwoitość.

No, i może te nieszczęsne łuki.

- Powiedzieliście, że gdybyście się zgodzili, zginęłoby wielu z was. Dlaczego?

- Tamci chcieli, byśmy sprowadzili ulewę na ich górskie wioski. Ale w ten sposób wywołalibyśmy straszną powódź w dolinie, w której mieszkali nasi pobratymcy. Nie mogliśmy się na to zgodzić.

- Zgromadzenie o tym nie wiedziało? Skoro tylu ludzi mogło zginąć, to dlaczego mędrcy to poparli?

- Bo zostali przekupieni – smutnym głosem wtrącił Aterrun. – Na skutecznie wręczoną łapówkę nie pomogą nawet czary.

- A gdy otwarcie sprzeciwiliśmy się Zgromadzeniu, zostaliśmy wyklęci. Dostaliśmy dwa dni na opuszczenie naszych ziem. Potem, zgodnie z prawem Catangi, groziła nam śmierć.

- To bestialstwo! – wyrwało się Gilbertowi.

- Nie – odparł Merrun. – To polityka. Rzecz jasna nie mogliśmy zdążyć ze wszystkim w tak krótkim czasie. W końcu wysłano więc oddziały, które spacyfikowały nasze wioski. Zginęły trzy tysiące Kirrimów. Ocalała nas jedynie garstka.

Na mostku zapadła przerażająca cisza. Nikt z załogi „Persefony” nie śmiał się odezwać. Starzec kontynuował opowieść:

- Pomógł nam pewien potentat z Torino. Od lat był zafascynowany naszą kulturą i obyczajami. Gdy tylko usłyszał, co się święci, sam nas odnalazł. Jeden z jego transportowców był akurat na Catandze z ładunkiem żywności. Udało nam się dostać na pokład i uciec. Potem jednak musieliśmy jakoś opuścić system. Azyl polityczny nie wchodził w grę, bo Torino nie chciało się mieszać w konflikty na naszej planecie. Ten sam człowiek zorganizował więc dla nas kryjówkę i drogę ucieczki. Ryzykował reputację, a nawet życie, ale gdyby nie on, nie byłoby nas tu teraz. Załatwił fałszywe dokumenty wysyłkowe i kontenery, w których...

- Chwileczkę – przerwał Luc. – Jak to „kontenery”? To jest was więcej?

- Tak – odparł Merrun.

- Ile? – wycedził kapitan.

- Trzysta czterdzieści dwie osoby. W ośmiu kontenerach.

- Wielkie nieba! – zapiał Ostrogooff. – Czy „Persefona” wygląda na latający obóz uchodźców?! Więcej was mamusia nie miała? – po czym urwał, zdawszy sobie sprawę, iż ostatnia uwaga była wysoce nie na miejscu.

- Proszę mi wierzyć, wcale nie mieliście się dowiedzieć o naszej obecności.

- Więc dlaczego wyszliście z kryjówki? – spytał Luc.

- Poczuliśmy, że coś się dzieje. No i straciliśmy łączność z pozostałymi. Mój syn poszedł na zwiad. Długo nie wracał, więc w końcu zabrałem łuczników i sam zacząłem go szukać. W międzyczasie trafiliśmy na pobojuwisko i nabraliśmy pewności, że stało się coś niedobrego. A potem spotkaliśmy was.

Kapitan machnął niedbale ręką w kierunku monitorów.

- No to teraz możecie sobie popatrzeć, w co przez was wdepnęliśmy.
- Przykro nam z tego powodu. Nie było naszym zamiarem narażanie innych.
- Nie było? – zachnął się Ostrogoff. – Od momentu, w którym zapakowano was do ładowni, narażaliście wszystkich ludzi na pokładzie tego statku. Włącznie ze mną, a możecie mi wierzyć, że ni cholery mi się to nie podoba!

Starzec nic nie odpowiedział, a jedynie skinął głową ze zrozumieniem.

Lucowi od dłuższej chwili chodziła po głowie jedna, niepokojąca wątpliwość. Skoro Kirrimowie zdołali uciec z planety, dlaczego wysłano za nimi tak silny pościg? Czy Zgromadzeniu nie wystarczało, że niewygodne plemię zostało usunięte z ich sąsiedztwa? Co mogło napędzać zawiść, każącą tylu statkom ścigać trzysta nieszkodliwych osób aż po granice systemu?

Najemnik chciał spytać o to Merruna, ale nie zdążył.

- Pięć rakiet od rufy! – wykrzyknął nawigator. – Uderzenie za dwadzieścia sekund! Złapcie się czegoś!

Dowódca catangiańskiego niszczyciela wpatrywał się w monitory przedstawiające uciekający transportowiec.

- Kiedy będą w zasięgu ognia? – spytał pierwszego oficera.
- Za pół minuty, kapitanie. Szybko się zbliżamy.
- W porządku, wyrzutnie w stan gotowości. Dlaczego widzę tylko dwa pirackie statki?
- Trzeci próbował dostać się do luku, ale staranowali go kontenerem.
- A to ci numer – dowódca uśmiechnął się pod nosem. – Czy dlatego pozostali przestali atakować?
- Czekają na nas, mają za słabą siłę ognia. A Zgromadzenie kazało przechwycić ładunek lub zniszczyć cały statek.
- Wiem, co kazało Zgromadzenie. Jak tam odległość?
- Wchodzimy w zasięg.
- Świetnie. Odpalić pierwszą salwę!

Próbowali zrobić unik, ale nie udało się.

Najpierw oberwał napęd. W wyniku ataku jeden z czterech silników „Persefony” praktycznie przestał istnieć. Gdyby nie wzmacniane grodzie, eksplozja najpewniej uszkodziłaby ładownię, ale nikt nie miał wątpliwości, że ponowne trafienie w rufę statku skończy się tragicznie.

Na domiar złego rakiety uszkodziły generatory. Wszystkie światła na statku przygasły, po czym przeszły na zasilanie awaryjne. Mostek zalała złowieszcza, czerwona poświata. Twarze wszystkich zgromadzonych na nim ludzi wyglądały jak oblicza skąpanych we krwi upiórów. Jedynie ekrany

nawigacyjne wciąż jarzyły się błękitnym, niebiańskim światłem. To, co pokazywały, nie wyglądało jednak zbyt optymistycznie.

- Straciliśmy pięćdziesiąt procent mocy.

- Jak ładunek? – spytał Ostrogoff.

- Na razie nietknięty – odparł nawigator. – Ale przy takiej sile ognia raczej nie przetrwamy drugiego ataku.

- Rozumiem.

Ale przetrwali. Pięć kolejnych rakiet rozorało prawą burtę, zniszczyło kolejny silnik i przebiło się do śluzy towarowej. Pirackie statki oddaliły się na bezpieczną odległość i stamtąd obserwowały tę egzekucję.

- Niszczyciel nas okrąża! – poinformował nawigator.

- Mamy możliwość manewru?

- Nie, silniki korekcyjne poszły w diabły.

- Więc możemy tylko czekać, aż tamci nas dobiją – Luc poczuł, jak opuszczają go wszystkie siły. „To koniec” – pomyślał. „I tak za długo mieliśmy fart”.

Potem jednak spojrzał na Kirrimów i coś go zaniepokoiło. Tamci zgromadzili się w kącie i nad czymś debatowali. Z uszkodzonej instalacji nad ich głowami raz po raz sypały się iskry, ale oni zdawali się nie zwracać na to uwagi.

Wtem Aterrur oderwał się od ich grupy, odstawił limira na podłogę i podszedł do kapitana.

- Mamy prośbę – oznajmił mu.

- Mianowicie?

- Czegokolwiek będzie pan świadkiem, proszę nam nie przerywać.

- Co takiego? – Ostrogoff miał niewyraźną minę. – Wybacz pan, ale nie rozumiem.

- Za kilka chwil się to zmieni – odrzekł Kirrim i ruszył z powrotem do swoich.

Po drodze zaczepił go Luc.

- Co chcecie zrobić?

- To, co trzeba – odparł Aterrur.

- Już wcześniej chciałem was spytać... Co takiego zrobiliście na Catandze, że ściga was nawet wojsko? Nie chodzi tylko o wasz sprzeciw, prawda?

Kirrim wbił w najemnika czujne spojrzenie. W tym czerwonym świetle przez chwilę wyglądał jak szalenciec przyglądający się nowej ofierze. Potem jednak uśmiechnął się blade.

- Chyba nie myślałeś, że moglibyśmy nie pomścić naszych zmarłych braci?

- A niech mnie, zabiliście kogoś z tamtych?
- Tylko tylu, ilu wymagała tradycja.
- Czyli? – ze zgrozą wychrypiał Luc.
- Na ilu starczyło nam sił – odparł Aterrūn. – Kirrimowie zawsze płacą swe długi.

Po czym ruszył w stronę swoich.

Najemnik odprowadził go wzrokiem, nie wiedząc, co myśleć. Ludzie ci byli dlań zagadką. Z dezorientacją obserwował, jak członkowie klanu Szesnastu Skorpionów odkładają łuki i ustawiają się wokół starego Merruna, twarzami do siebie. Kapitan, nawigator i Gilbert również przyglądali się temu z niepokojem.

Tymczasem Kirrimowie chwycili się za ramiona i przez chwilę tkwili w kompletnym bezruchu.

A potem zaczęli tańczyć.

Krok w prawo, ugięcie kolan, podskok. Z sześciu gardeł wydobył się cichy, pierwotny pomruk. Groźna, złowieszcza wibracja. Krok w lewo, ugięcie kolan, skinienie głową.

Luc czuł, jak jeżą mu się włosy na karku, a w skroniach huczy krew. Obrazek, który się przed nim rozgrywał, był tak surrealistyczny, że w innych okolicznościach zapewne by go rozbawił. Ale nie tym razem.

Krok w prawo, ugięcie kolan.

Pomruk.

Jak przez grubą warstwę waty, najemnik usłyszał głos nawigatora.

- Idzie trzecia salwa!

Na mostku niszczyciela panowała cisza, mącona jedynie przez pikanie skanerów.

Pięć rakiet było już w drodze do celu. Przy odrobinie szczęścia nie będzie trzeba odpalać następnych. Z każdą sekundą zbliżały się do feralnego transportowca. Kapitan wpatrywał się w ekran, po którym sunęły punkty symbolizujące wystrzelone pociski.

- Dziesięć sekund do uderzenia – beznamiętnym głosem poinformował nawigator.
- Świetnie – mruknął dowódca. – Dokończymy to i wracajmy do domu.
- Pięć sekund. Nie, chwileczkę...
- Co jest?
- Pociski... one zniknęły – nawigator spojrzał na kapitana bezradnie, po czym ponownie wbił nos w monitor.
- Jak to „zniknęły”? To niemożliwe!

Ale rzeczywiście, punkty z ekranu gdzieś przepadły.

- Może to błąd skanerów? - dopytywał się dowódca. - Co mówią odczyty?

- Gdyby to był błąd, rakiety już by dotarły do celu, ale nie wyłapaliśmy żadnej eksplozji... A niech mnie! Ostatnie zapisy z czujników wskazują na jakieś wyładowanie elektryczne!

- Chcesz mi powiedzieć, że nasze pociski trafił piorun? - warknął dowódca. - W przestrzeni kosmicznej?

Mina nawigatora nie wskazywała na to, iż zna odpowiedź na zadane pytanie.

Z pomocą przyszedł mu inny żołnierz, który z przejęciem zerwał się znad pobliskiego stanowiska radarowego.

- Kapitanie, powinien pan to zobaczyć!

- Co tam znowu?

- Sam nie wiem, ale dziwnie to wygląda.

- Powinniście to zobaczyć! - wykrzyknął nawigator.

- Tak? - zbliżył się Ostrogoff. Luc przywędrował w ślad za nim.

- Nie wiem, jak to możliwe, ale pociski wyparowały.

- Co? Niby jak?

- Chyba eksplodowały po drodze. Ale nie to jest najlepsze, niech pan spojrzysz tutaj - nawigator wskazał palcem na schemat ich sektora. - Widzi pan tę plamę?

- Widzę, całkiem spora. Ile ma w rzeczywistości?

- Jakies dwa kilometry wszerek. Pojawiła się praktycznie znikąd i sunie w naszym kierunku.

- Nieźle, ale co to jest?

- Cóż... - zająknął się nawigator. - Wygląda na to, że... chmura.

Ostrogoff głośno przełknął ślinę i z niepokojem spojrzał przez ramię na wciąż tańczących Kirrimów.

- Czy oni naprawdę robią to, co wydaje mi się, że robią? - spytał cicho najemnik.

- Obawiam się, że tak - szepnął kapitan. - Ale nie pytaj mnie pan, dlaczego.

- Chmura podchodzi z prawej - oznajmił pierwszy oficer. - Zostało jej czterysta metrów. Kontynuować ostrzał?

- Nie - odparł kapitan niszczyciela. Najpierw trzeba ominąć to... zjawisko.

- Tak jest. Przygotować manewr wymijający! - rzucił oficer przez ramię.

Okręt zaczął skręcać.

Tymczasem anomalia z każdą chwilą była coraz bliżej. Przypominała monumentalny, bladofioletowy obłok, raz po raz rozświetlany od wewnątrz błyskami wyładowań.

- Dwieście metrów! - wykrzyknął nawigator.

- Szybciej, do cholery! - dowódca, spłoszony z emocji, jął miotać się między podwładnymi, gorączkowo wymachując rękami.

Niszczyciel przechylił się na lewą burtę i zaczął przyspieszać.

Ale wtedy chmura dopadła go i wchłonęła.

W jej wnętrzu zatańczyły błyskawice.

Załoga "Persefony" w milczeniu wpatrywała się w odczyty skanerów. Nikt nie potrafił znaleźć słów na to, co właśnie zobaczyli. Byli tak przejęci, że nie dostrzegli, iż Kirrimowie rozłączyli się i usiedli na podłodze ze skrzyżowanymi nogami. Mieli zamknięte oczy i szeptali coś pod nosem.

- Piraci uciekają - zauważył Luc, wskazując na skraj monitora.

Rzeczywiście, dwie ocalałe jednostki z całych sił gnały ku skrajowi sektora w ucieczce przed zabójczym obłokiem. Ten jednak zaczął się już rozmywać. Kilka chwil później po dziwnym zjawisku nie było ani śladu. W pustej przestrzeni unosiły się jedynie pozostałości zniszczonego statku.

Pierwszy z zadumy ocknął się kapitan.

- Jak stan silników? - spytał.

- Dwa zniszczone - odparł nawigator.

- Damy radę wykonać skok? Wreszcie mamy wolną drogę.

- Przy połowie mocy może być ciężko, ale spróbuję. Oczywiście, jeśli kadłub wytrzyma.

- Musi. Chcę tylko jak najszybciej opuścić ten parszywy system. Jeśli firma przyśle mnie tu jeszcze raz, powiem prezesowi, że może sobie całą „Persefonę” wsadzić w... - Ostrogoff urwał, bo dostrzegł, że Aterrun z ojcem wstali i ruszyli w och stronę.

- Chyba powinniśmy wam podziękować - Luc zwrócił się do Kirrimów. - Choć za cholerę nie wiem, jak to zrobiliście.

- Tajemnica zawodowa - uśmiechnął się Aterrun.

- Nie oczekujemy podziękowań - z powagą dodał Merrun. - Wasz statek dał nam schronienie, nawet jeśli nieświadomie. A Kirrimowie zawsze płacą swe długie. Poza tym zrobiliśmy to też dla siebie. I dla naszych rodzin. Więc teraz, jeśli pozwolicie, chcemy do nich wrócić.

- Jasne - odparł kapitan, po czym zwrócił się do nawigatora. - Ładownia się nie rozszczelniła?

- Nie, wszystko gra.

- W takim razie możecie zobaczyć się ze swoimi – rzekł Kirrimom Ostrogoff. – Gilbert, odprowadź panów – skinął na mechanika.

Gdy wszyscy opuścili już mostek, kapitan westchnął pod nosem i pokręcił powoli głową, jakby wciąż nie wierząc w nic, co niedawno tu zaszło.

Wtem tuż obok rozległo się stęknienie i coś zaszurało na podłodze.

Kapitan podskoczył jak oparzony. Potem jednak dostrzegł, że to Jacques właśnie odzyskał przytomność. Najemnik gramolił się na czworaki, trzymając ręką za obolały czerep. Potem stanął chwiejnie na nogach.

- Co się dzieje? – jęknął, rozglądając się z wysiłkiem.

- W samą porę! – roześmiał się Luc, podchodząc do kompana. – Wszystko przespałeś!

- Coś mnie ominęło?

- Całkiem sporo. Ale opowiem ci później, bo jeszcze znów byś zemdlał.

- Bardzo zabawne – bąknął Jacques, skupiając się na utrzymaniu równowagi. – Lepiej daj mi coś na ból głowy. Czuję się, jakby ktoś mi po niej tańczył...

Nie mógł zrozumieć, dlaczego pozostali zaczęli się śmiać.

Nie minęło kilka minut, a na mostek wpadł Gilbert. Był zdyszany i przerażony.

- Wkurzyli się! – wykrzyknął z przejęciem.

- Kirrimowie? – zdziwił się Ostrogoff. – Niby o co?

- Brakuje jednego kontenera. W środku była część uchodźców!

- Jak to „brakuje”? – Luc podrapał się po głowie. – Przecież nie mógł wyparować. Chyba że...

Najemnik pobladł i wbił zaniepokojony wzrok w Gilberta. W jego oczach dostrzegł zrozumienie.

- Ale narobiliśmy bigosu – jęknął mechanik. – Oni zaraz tu przyjdą! Co im powiemy?

- Zabarykadujmy się tutaj – z głupia frant zaproponował kapitan.

- Nie ma mowy – zachnął się Luc. – Trzeba zawrócić i odnaleźć tamten kontener. Daleko raczej nie podryfował. No i nie był mocno uszkodzony, przy odrobinie szczęścia nikomu nic się nie stało. Musimy się tylko pośpieszyć.

- To się może udać – przystał Gilbert.

- Zaraz przeskanuję sektor – dodał nawigator i jął wstukiwać coś do komputera.

- Tylko migiem – ponaglił Luc, zachodząc w głowę, jak ma obwieścić honorowym Catangiańczykom, że wystrzelił ich pobratymców w próżnię.

Obawiał się, że Kirrimowie zapragną spłacić i ten dług.